ey Bronikowski
Antoni

3 zł

MOJE MARZENIA.

A. B.



Leszno.
Czcionkami *Ernesta Günthera.*

1840.

Moje Marzenia.

. . . . a, jako kto może,
Niechaj ku dobréj sprawie dopomoże!
Jan Kochanowski.

A. B.

Leszno.
Czcionkami *Ernesta Günthera.*

1840.

Imprimatur.

Posen,
d. 10. *April* 1840.

Czwalina, Censor.

Towarzystwu

DOBROCZYNNOŚCI

w Krakowie

poświęcam

A. B[illegible]

Ballady i powieści.

Chłopczyna.

Niezdarte okiem śmiertelnika duszy
  Ciemne niebios są zrządzenia;
Szczęśliwy, kogo grom losów nie skruszy,
  Śmiało czeka przeznaczenia.
Kto wierny prawom świętéj swojéj wiary,
Jad zgryzot chętnie pije z nieszczęść czary.

W niepomnych czasach dalekiéj przeszłości,
  W mieście świetném czyny swemi,
Słynna dostatki, i w kwiecie młodości,
  Żyła wdowa w polskiéj ziemi.

Błogosławiły nieba jéj prostocie;
  Jedynaka syna miała,
A przecież w skromnéj, świętéj ojców cnocie,
  Tkliwa go matka chowała.

Już lat dziesięciu dorastał chłopczyna,
  Całego miasta ozdoba,
Gdy się wtém łzami zlała twarz matczyna,
  Dom czarna skryła żałoba.

Snu okropnego dręczyły ją mary:
„Nim pięćdziesiąty dzień minie,
„Pan twéj niewiasto chce doświadczyć wiary,
„Twe dziecię od gromu zginie!“

Zrywa się w trwodze matka nieszczęśliwa,
Przed boskie spieszy ołtarze:
Łaski, litości z górnych niebios wzywa,
Wszystko im niosąc w ofiarze.

Potém granitne każe zwalać głazy:
Już rąk w nich kuje tysiące,
I słychać zewsząd silne młotów razy,
Dłut, toporów chrzęsty grzmiące.

Po dniach czterdziestu gmach potężny stawa,
Cały z granitu ukuty,
Wszakżeż nie znikła matczyna obawa,
Jéj umysł żalem zatruty.

Bo już nadchodzi dzień okropnéj trwogi:
Bierze nieszczęsna swe dziecię,
Jęcząc, w kamienne z nim pospiesza progi,
W skaliste chroni ukrycie.

Lecz ledwo znikła, chłopczyna tajemną
Wybiega z gmachu dróżyną,
W dali za sobą rzucił otchłań ciemną,
Nad cichą stawa doliną.

I tu pod niebem na twarz pada gołem,
  I dłoń wznośi doń modlącą;
Niebo fal czarném zamgliło się kołem,
  Nawałą kipi gorącą.

I coraz więcéj zaciemnia się w koło,
  Błyskawic płonie żarami,
Aż poczerniałe, śine gromem czoło
  Ulewy buchło falami.

Leży plon zboża gradem deszczu zbity,
  Gniewna dęby trzaska fala,
Gdy wtém grom w gmachu uderza granity
  I cały w gruzy rozwala.

Z rozpaczą matka wypada struchlała,
  Skruszona niebios potęgą,
Gdy w polu — w dali — widzi osłupiała
  Syna z świętą w dłoni księgą.

Bieży — szczęśliwa — lube dziecię śćiska;
  Pada — dłoń do Boga wznośi —
I z łzą pokory, co z jéj oka tryska,
  Przebaczenia winy prośi.

Niezdarte okiem śmiertelnika duszy,
  Ciemne niebios są zrządzenia;
Szczęśliwy, kogo grom losów nie skruszy
  Śmiało czeka przebaczenia.

Kto wierny prawom świętéj swojéj wiary,
Jad zgryzot chętnie pije z nieszczęść czary.

Wiano Haliny.

Kędy wiosenną strojne przyrodą,
Bujne w okół świecą łany,
A złotym rankiem drzewa promienią,
Kraj tam luby, kraj kochany.

Tutaj wioszczyny zamglone chatki,
Ówdzie majem kraśne laski,
Tam wozy kmiotków, jak w rzece statki
Przez rumiane płyną piaski.

A na złotawém zwirów przestworzu,
Ponad ciche piasków wały,
Na osamiałém oparty wzgórzu,
Wznoši się klasztór wspaniały.[1])

Pod nim rozlicznych kwiatów barwami
Nadobna łączka rozkwita;
W niéj rój motyli skrzydłek falami
Lśni jak wstęga złotem wita.

---

1) Góruszki, w powiecie krobskim.

Tutaj to niegdyś Halina młoda
 Rwała Bogu kwiat do wianka,
Ztąd do świątyni, jako jagoda,
 Zdążała niebios kochanka.

Nie jeden żebrak, nie jedna z matek,
 Obok pańskiéj tutaj córy,
Na dzień odpustu uszczknęła kwiatek,
 By nim święte zwieńczyć mury.

Nie jedna krówka biednéj sieroty
 Tu się w letni pasła dzionek,
I czyn pobożnéj głosił tu cnoty
 Nie jednego wołku dzwonek.

Chciał Bóg — i anioł z dziewic zgasł choru,
 Ostatnie jéj były słowa:
„Wszystko dla sierót, ojcom klasztoru
 „Moja zielona dąbrowa.“

W cichéj, grobowéj przodków zachronie
 Ojcowie skryli ją święci,
A lud z téj łączki dary na jéj łonie
 Dla wiecznéj złożył pamięci.

Mijają wieki, śniegi zimowe
 Miejsce boskich kryją pieni,
Dobréj Haliny wiano grobowe
 Ciągłym się majem zieleni.

Dwa gołąbki.

Tam daleko — w pośród gaju —
Gdzie się bieli dach téj chatki,
Młody rybak w wał ruczaju
Nucąc drobne ciska siatki.

Mile ciche szumią wody,
Mile ptasząt dźwięczą pienia,
Rzewnią serce — rybak młody
Ciężkie z pierśi szle westchnienia.

Jak to oko łzą zalane,
Jak te blade jego lice,
Tak posępnie, krwią zawrzane,
Tęsknéj duszy brzmią krynice:

„Szczęsne gajów, łąk mieszkańce,
„Jakżeż miłe wasze śpiewy!
„Ziem dalekich zbiegłszy krańce,
„Witacie rodzinne krzewy.

„I z weselem je witacie; —
„A ja pielgrzym w ojców ziemi —
„Nędzarz przy méj własnéj chacie,
„Z łzami słucham was rzewnemi.

„O! i jam miał dni słodyczy,
„Niezsępione trosk chmurami;
„O! i jam znał głos słowiczy,
„I się cieszył niegdyś z wami.

„Pókiś ty w śmiertelnych gronie
„Jaśniał duszy méj aniele:
„Niebo w mojém jasło łonie —
„A raju wrzało wesele.

„Ale odkąd śmierci wały
„W nurt wieczności cię wtrąciły;
„Puszczą dla mnie świat ten cały —
„Ziemia — źimny głaz mogiły.“

Tak w wieczornéj zawsze dobie,
W gajów ciszy, nad strumieniem,
W czarnéj serca swéj żałobie,
Rybak tęskném wzdychał pieniem.

Aż gdy żalem raz znękany,
Co mu jego pierś rozrywał,
Bez śił upadł łzami zlany,
Nim piosenki swéj dośpiéwał;

Nagle światłość błysła z chmury:
Złotem wał strumienia płonie —
I gołąbek srebrnopióry
Na olśnione zwionął błonie.

Odtąd więcéj niesłyszano
Nieszczęsnego tęsknych pieni;
Tylko wietrzyk z wód wezbraną
Igra falą w łąk zieleni.

Lecz, gdy gwiazdy błysną w niebie,
I mrok skryje gaje, łozy,
Dwa gołąbki obok siebie
Wieniec wzniosłéj stroją brzozy.

Dziwna jasność od nich płynie,
Opromienia krzewin głuszę,
A, jak mówi lud w wioszczynie,
Dwóch kochanków są to dusze.

Piorun.

(Z okolic Międzyrzecza.)

„Wiecie co, kumie, ot wasz kawał roli,
„Co wam ni grosza czyni przez rok cały;
„Odstąpcie — ja tam dom mój stawię mały,
„A gdy się wzmogę, spłacę wam powoli.“

„„I całém sercem, miły mój Ignacy;““
Rzekł Tomek. „„Weźcie te sapiska sobie;
„„Wszakżeż mi w niczém na mojéj chudobie
„„Nie zbywa, — weźcie je nawet bez płacy.““

Ignacy czule ścisnął dłoń sąsiada;
I ledwo jutrzni brzask okrwawił zdroje,
Już dwoje wołków, wraz z żoną oboje,
Wywodzi z stajni, do wózka zakłada.

I chyżo sosny zwala nań sążniste,
I skrzętnie z szopki pochwyca krawędzie
Topór i piłę, i resztę narzędzia
I na swe błonie pośpiesza piaszczyste.

I tam od ranku, aż do nocy zmroku,
Całe dnie chłopek i ciosze i kuje:
Grube drwa gładzi, nacina, krępuje,
Aż mu łzy potu krwawe mkną po oku.

Gdy przyszła zima, Ignacy w pokoju,
Oddawszy pańską, z weselem w jagodzie,
Z żoną i dziatwą w swéj własnéj zagrodzie,
Po całoletnim wypoczywał znoju.

I dobrze wiodło całéj się rodzinie,
Bo Bóg trud skrzętnéj wynagradza cnoty:
Był zapas doma, rącze do roboty
Bydełko w stajni, a szacunek w gminie.

Tomek dziś jeden poglądał z zazdrością
Na takie szczęście kuma Ignacego,
Milczał, — lecz w duszy „nie długo on z mego
„Będzie tym panem“ z skrytą mawiał złością.

A gdy mu łaskę kmiotek nasz poczciwy,
Czemśiś chciał teraz koniecznie nagrodzić,
On źimny na to począł korowodzić:
„„Abož to chwast już porasta me niwy?““

Wreszcie go zbywał „„czas to temu będzie.““
Aż w Ignacego dom, w jedno zaranie,
Przyszło tam jakieś królewskie pisanie;
Że się doń jutro miejscy zjadą sędzie.

Chłopek się strwożył, coby to tam było?
Przez noc się trapi, żona łzami zlana; —
Wtém téż i zorza zabłysła różana
I troje z miasta prawników przybyło.

W krótkiéj i Tomek po nich przybiegł chwili.
Królewscy słudzy, oczyma bystremi
Chatkę i kawał przetropili ziemi
I wzrok w milczeniu w pisma swe wtopili.

I jeden groźno czytał Ignacemu:
„Dom ten nieprawnie z dłoni wzniesion twojéj
„Na cudzym gruncie, za twój podstęp stoi:
„Od dziś, należy sąsiadowi twemu.“

Potruchlał kmiotek na ten wyrok srogi —
Padł do nóg sędziom, prawność swą tłumaczy;
Lecz nie miał świadka, wywód nic nie znaczy,
I z słabym upadł oporem ubogi.

Jęknął dłoń łamiąc, a z tym jękiem żony
I dziatwy krwawe ozwały się płacze,
I krzyk: „gdzież dziejem biedni się tułacze?"
Okropném echem na wsze leci strony.

Zbiega lud: młodzi, starce z śiwą głową,
I wszystkim serce z boleści się kruszy;
Jeden z pokojem tylko Tomek w duszy
Spoźiera wesół na swą własność nową.

Gdy się wtém niebo nagle zmgliło czyste;
I z czarnéj chmury, w jedném oka mgnieniu,
Błysk z strasznym gromem w krwawym spadł promieniu
I chatę w łuny zamienia ogniste.

Szerzy się pożar, rośnie błyskawicą,
I dom, zagrodę, z groźnym trzaskiem chłonie,
Lecz nikt ku skrzętnéj nie bieży obronie,
Bo ogień Boga wzniecony prawicą. 1)

---

1) Jest śilna wiara między ludem naszym, że pożaru piorunem wznieconego nie godzi się gaśić.

Tylko w milczeniu patrzą przerażeni
Kmiotki wioszczyny, nieme króla sługi;
Jak twarde bale kruszą żarów strugi,
A dym po skwarnéj wije się przestrzeni.

Kiedy wtém Tomek z twarzą śiną — bladą —
„„Sędzie! zawoła, „„Bóg mści się za brata,
„„Sam grunt ten jemu dałem tak dwa lata,
„„A dziś wraz z chatą chciałem posieść zdradą.

„„Cofnijcie wyrok nieprawnie wydany!
„„Wracam mu własność, a za ciężkie szkody,
„„Połowę mojéj oddaję zagrody;““
I padł w objęcia kuma łzami zlany!

Dwór biały.

Wieczór spada, i dwór biały
Kryje całun nocy świata;
Przede dworem pośiwiały
Z cicha mówi brat do brata:

„Cóż waść na to panie Janie,
„Czy nie dzielne chłopcy nasze?
„Niech ich diasek porwie, panie,
„Jak nam rąbią ich na kaszę.

„Tam do kata téż to będzie,
„Świetna dies w życiu naszém,
„Kiedy, w licznych łupów rzędzie,
„Z gromkim wrócą w dom pałaszem.

„„Słuchaj waszmość, sam w zagrodę
„„Licznych braci sproszę grono —
„„Pierwszy kielich za swobodę,
„„Pro publico palnę bono.

„„Potém mężnym dank wdzięczności
„„Oddam: vivant mi rycerze
„„I qui sunt, i których kości
„„Z chwałą w świętéj legły wierze.““

Wieczór spada, mrok rozlały
Nocne cienie na dziedziny;
Kędy błyszczał dworzec biały,
Głuche sterczą rozwaliny.

Janek.

Dziewczę drogie, me wybrane,
Niech ci żal nie chmurzy czoła:
Wszak to żniwo ukochane,
Gdzie powinność dziś nas woła.

A nie miło w téj zagrodzie,
Póki brzemię pracy tłoczy;
Oj i tęskno przy jagodzie,
Nim pot znojów czół nie zmoczy.

Nie płacz dziéwczę, złóż rączęta,
Bóg jest wielki, litościwy,
Da nam trudów skruszyć pęta,
Da szczęśliwie wrócić z niwy!

Oj tak luba, wnet swobody
Pieśń znów brzękną w dom te kosy
I przez wioski wsze zagrody,
Krzykniem huczno pod niebiosy:

„Hej tu Piotrze stawiaj czasze,
„Skrzypku dawne rznij nam tany;
„Dziś skończone prace nasze,
„Niech obertas brzmi kochany!

„I znów każdy swoją w dłonie,
„Hejże, hola szumne koło —
„Póki księżyc w chmurach tonie,
„Póki jutrznia nie lśni w sioło.“

Rzekł to Janek — dziéwczę ścisnął —
Łza się w oku zakręciła;
Siadł na siwka, kosą błysnął,
Mgła się kurzu za nim wzbiła.

Boże wielki, litościwy,
Pobłogosław święte czyny;
Niechaj wróci i szczęśliwy
Klaśnie w liczko swéj dziewczyny.

Majtek powracający.

Ziemio urojeń, marzeń mych złotych dziedzino,
Kolebko dumań, w setne wspomnień strojna
kwiaty,
Witaj, o witaj droga ojców mi kraino!
Nieba! przy owém wzgórzu, u téj niskiéj chaty,
Przed lat czterdziestu, ja cię młodzieńcem że-
gnałem . . .
Ha! pomnę jeszcze ową godzinę rozstania,
Nad którą okropniejszéj w życiu nie zaznałem.
Dzionek majowy brzaskiem się budził zarania,
Na młodych drzewkach perły rannéj lśniły
rosy,
W około była cisza, i morza kryształy
Lekki wietrzyk poruszał. Kiedy wtém w nie-
biosy,
Jak huk piorunu hasła z okrętu zagrzmiały
I wstrzęsły mojém sercem, jak wichry nawałą.

Zadrzałem, — przecież z męstwem chcę się rzu-
cić w fale,
Chcę stłumić w duszy gorzkie pożegnania żale,
Kiedy wtém — Boże! pamięć serce mi roz-
dziera —
Dłoń ma, jakby setnemi więzy obarczona,
Napróżno z drogich, silnych kajdan się wy-
dziera.
Spojrzałem — na mém ręku kochanka omdlona,
A przy niéj ojciec stary z dłonią załamaną!
Wtenczas rozpacz piekielna w mojém oku błysła,
Chwytam zbójcze żelazo, by ukrócić męki,
I do łona przypieram; lecz stal pada z ręku,
Siły konają, głuche jeszcze słyszę jęki,
Potém niby gwar ludzi, chrzęst żelaza szczęku,
Wreszcie cisza; — myślałem, żem usnął na
wieki.....
Lecz nie był to sen wieczny, nigdy nieprzespany.
Ach! jam się zbudził, zbudził już od nich
daleki...
Okręt wiatrem, groźnemi wały kołysany,
Jak szalony po sinéj leciał wód topieli,
Coraz daléj i daléj rwąc od lubéj ziemi,
Konającego ojca, od serca Anieli!....
Gdy po dniach wielu, znagła — niebo się
czarnemi

Osępia chmury, i wicher zawył hymn burzy.
I już po rozpienionéj, wściekłéj morza fali
Okręt w powietrze leci, to w bezdniach się
nurzy,
A widokrąg w około od piorunów pali.
Już grady śmierci zioną zdziczałe żywioły;
Ciesz się nieszczęsny! bliskim jest koniec cier-
pienia:
Z roztrzaskanéj téj nawy mglistemi popioły
Wkrótce ostatnie w chmury twe wioną we-
stchnienia...
Złudna pociecho! burze bezzgubnie prze-
grzmiały;
Z śród nocy chmur rozbitych słońce znów
z uśmiechem
W ukołysane morza wyjrzało kryształy —
Okręt wesołych krzyków setném zabrzmiał
echem.
Moją pierś powrót życia nowym skrwawił
ciosem:
Bo czemżeż życie z wszystkich odarte nadzieje?
Lecz pocóżbym wam coraz łez pełniejszym
głosem
Rozsnuwał dłużéj dalszych losów mych koleje!
Po okwitłym zawczesnie lat wiosennych Maju,
Starcem do ojczystego dziś powracam kraju.

A przecież lube sercu rodzinne me strony
Jakżeż to niebo jeszcze pięknèm, co tam świta
Rankiem ponad wioszczyną; jakżeż drogim
duszy
Ten wietrzyk, co już w dali tam od was mnie
wita,
Choć kto wie, jakich nowych niesie jęk ka-
tuszy?...

O cieniu ojca i ty nad życie mi miłéj,
Jeśli od waszéj ciché wieje on mogiły,
Śpijcie spokojnie. Nim dzień w drugiéj bły-
śnie dobie,
Może i trzeci przyjdzie przy was spocząć
w grobie!

Wieniec.

(*Obraz z dawnych czasów.*)

Już w polach coraz smętniéj, samotniéj dokoła,
Zczerniałe ściernia tylko i powiędłe bluszcze;
Już i rólnika zcichła zdawna pieśń wesoła,
Chyba wiatr chłodnawy suche ciernia muszcze,

Po zżółkłych łąkach trzoda milcząc, zwolna
kroczy,
Czasami podzwaniając przewleczonym brzękiem,
I słonko coraz niżéj krąg wspaniały toczy.
Krzewy nie nęcą lubym zieloności wdziękiem,
Ale bez liścia sterczą, jak szkielety, w gaju,
I dumają o złotym swéj młodości Maju;
Nie masz słowika, coby dźwiękiem swego pienia
Roztlił w nich iskrę życia i wyrwał z marzenia.
Przecież, choć smętną serce przenikasz tęsknotą,
Jesieni! i twój widok niekiedy weseli:
Oto grono żniwiarzy, z niewinną ochotą,
Idzie się bawić z panem przy żniwnéj niedzieli.
Na czele Jędrak młody, w świątecznéj sukmanie,
Z odkrytą skronią, włosy obwianą długiemi;
W dłoniach jego, jak zorza na wrześniowym
łanie,
Wieniec z pszenicy, wstęgi przeplecion kraśnemi.
Orszak dziewcząt za Jędrkiem, jak fala bła-
watów,
Wonnym jutrzenki chłodem lekko uginana,
W wiejskich leje się strojach, świeci barwą
kwiatów,
Z poza których, jak tęcza po niebie rozlana,
Z baranich czapek chłopców pawie wieją pióra.
Kończą grono żniwiarzy stare gospodynie,

I gospodarze starzy, których sukman chmura
Ciemno-błękitna, niby noc za rankiem płynie.
Wszak nie jednemu wązkim już dziedziniec cały:
Czapkę zawieśił z ucha — usta zaniemiały —
Przecież, choć potaczając się w lewo i prawo,
Za drugimi podąża, jeszcze kroczy żwawo.
Raźnem weselem wszystkich ubarwione twarze:
Ochoczo mruczą dudy i skrzypki świegocą;
Wykrzyka młódź, roskosznie gwarzą gospodarze,
Mury w około echem stokrotném chrobocą.
Bo już przybyli, kędy nad dach officyny
I lipy wiekuiste, strzechą kryte gumna,
Dwoma białemi w niebo dwór sięga kominy,
Z których leniwa dymu wzbija się kolumna.
Otoczon gronem gości, niegdyś towarzyszy
W wojnie na Szweda, gdzieś tam nad Wisły brzegami,
Zacny następca ojców, z swéj skromnéj zaciszy
Pan Podstoli z sąsiedztwa wychodzi panami.
Na widok jego miłe wdzięcznéj gminy głosy
Chórem dobranych śpiewów płyną pod niebiosy.

„Przede dworem wielka burza, [1])
„Nasza Imość gdyby róża.

---

1) Piosnki tu umieszczone, są wzięte z ust gminu.

„Przynośimy plon
„Jegomości w dom.
„Przede dworem wielki kamień,
„Nasza Imość siedzi na nim.
„Przynosimy plon
„Jegomości w dom.
„Przede dworem wielka woda,
„Nasza Imość jak jagoda.
„Przynosimy plon
„Jegomości w dom.
„Obyć zboże plonowało,
„Po sto korcy wydawało.
„Przynosimy plon
„Jegomości w dom.“

Słucha ich Pan Podstoli z czułém rozrzewnieniem,
Trzykroć poprawił pasa i pokręcił wąsów:
Na śniade lica radość wybłyska płomieniem; —
Klasnął w dłonie, i żeńców wyzywa do pląsów.
Oni jednak wprzód idą na pańskie pokoje,
W których w licznym dam rzędzie Pani Podstolina,
Uprzejmie wita hoże parobki, dziewoje, —
Przyjmuje wieniec, co jéj wierna składa gmina,
I do szumnéj uciechy w domu swym zaprasza;
W sali Skrzypek i Dudziarz zabawę ogłasza.
Rozwarły się drzwi do niéj na oścież — szeroko:

Na śnieżnych ścianach staréj, rozległéj komnaty,
Mglistą siwéj przeszłości osute pomroką,
Wiszą w portretach świetne domu antenaty.
Potężne barki puklerz osłania ze stali,
Skroń siwizną połyska, a w ponuréj twarzy,
Niby piorun w dalekiéj zapalony fali,
Z pod brwi długich, zczerniałych, grom dumy
się żarzy.
Tém okiem patrzą cienie chocimskich rycerzy
Na tłum kmiotków, co w dole w skoczne zbity
szyki,
Czeka, aż grajek hasło do tanów uderzy.
Zabrzmiały skrzypki raźnie—na ten głos muzyki
Wszystkim chłopcom, dziewczętom serce w pier-
śiach rośnie;
Wszyscy się tłoczą w miejsce wesela, uciechy.
Gdzie stary Szymek śmiga smyczkiem swym
ukośnie,
A Błażéj, dudziarz dzielny, brzmiące wzdyma
miechy.
Chłopcy i dziewki skoczą do tańca weseli,
Bo się wszystkim zdawało, że taniec poczęty,
Kiedy, jak wbity w ziemię, zamilkł głos kapeli,
Grajki się śmiejąc tylko stroją instrumenty.
Szymek i Błażéj gracze zdawna zawołani:
Żadne bez nich wesele być nie może w gminie,

Żaden kiermasz i żadna zabawa nie minie,
Gdzieby nie byli Szymek i Błażéj przyzwani.
Bo gdy oni zagrają, natenczas i starzy,
Ujęci dźwiękiem miłéj i słodkiéj muzyki,
Tańczą, hasają, jako młodziuchne chłopczyki:
Nikt w świecie nie gra lepiéj, jak Szymek
i Błażéj.
Zawsze jednak, nim z szumnym ozwali się
tańcem,
Twarz dziewcząt wstydu spłonąć musiała ró-
żańcem,
Bo z duszy obaj zwodzić lubili dziewczęta.
Niby to więc już sztuczkę wesołą zagrali, —
Dziewczęta w taniec; oni tony wtém zmięszali,
I śmiejąc się, stroili swoje instrumenta.
Znał ten ich zwyczaj Jędrak, w rówienników
kole,
Pierwszy urodą, siłą i męstwem młodzieniec:
Czy to do pługa, czy to złote kosić pole.
— Ztąd téż on tylko państwu dziś oddawał
wieniec —
Lecz i w karczmie on pierwszy, nie gardzi
wódeczką,
W tanach i przy wypitce zawsze réj prowadzi;
Lubi wyciąć krętego, pośmigać z dzieweczką,
Ale i szklanki potłuc, gdy kminkiem dosadzi.

Dziewczęta spoglądają na Jędrka z roskoszą:
Nie jedna różnie myśli, bo to krasa wioski —
Nie jednéj już tajemne nadzieje pierś wznoszą:
Młodzian wesół, ochoczy, bez smutku, bez
troski,
Odśmiechnie się miłośnie, w kącie w twarz
jagody
Klaśnie; któż to wie — Basia krasna, bliskie
gody!..
Znał swoich grajków Jędrak, nie pobiegł on
w taniec,
Lecz pochwyciwszy tęgiéj pełen wódki dzbaniec,
Poczęstował wesołych raz i drugi graczy.
Zaraz, skoro poczuli napój sercu miły,
Źrenice im się, niby gwiazdy wyiskrzyły:
Chmurno pojrzeli k'sobie, jak w gniewie, roz-
paczy,
Potém na chłopców, dziewki z słodziuchnym
uśmiechem,
I grzmią wiatraka, ściany huczném brzękły
echem.
Wraca radość i twarze rozśmiesza, weseli,
Niknie smętność, jak noc przed słońcem po-
ranku,
Gdy w różannym zorzy błyśnie ziemi wianku,
Serduszko w piersiach skacze na ten głos kapeli.

Bo to odgłos pamiątek, dźwięk ziemi rodzinnéj.
Wojtek młody swą Kasię, Basię Jędrak zwinny
Ujęli w dłonie, zaraz każdy swéj się skłania,
I koło hasających obraca się młynkiem.
Gdy Jędrak wszystkich wstrzyma, nogą przytępuje,
Przy nim Basia wywija w dłoni rozmarynkiem,
On przed grajkami stawa i tak wyśpiewuje:

„Oj, bieda mi nad biedami!
„Mam kochankę za wodami.

„Za wodami, za bystremi,
„Dunajami głębokiemi.“

Znów tańczy, koreczkami ostro przytępuje,
Znów przed grajkami stawa i tak wyśpiewuje:

„Nie dojadę, nie dopłynę,
„A kochania nie pominę.

„Jeśli kochasz, kochaj szczerze,
„Jeśli niechcesz, nie żartujże.

Znów skacze, puszcza Basię, w inną stronę spieszy,
To jéj drogę zabiegnie, ona na bok stroni,
Jędruś za nią zdążając słodki uśmiech roni,
Dłoń tanecznicy chwyta i śpiew kończy w rzeszy.

„Nie dodawaj sercu trudy,
„Nie weźmiesz ty, weźmie drugi.
„Dekret w niebie zapisany,
„Kto jest komu obiecany.
„Bóg zasmuci, Bóg i kończy,
„Kochające serca łączy.

I silniéj w dłonie chwyta Baśkę swą rumianą,
I hejże smagła para śmiga kręgiem w koło:
Trzeszczą ławki, ognisty pot oblewa czoło,
Z wrzaskiem patrząca dziatwa ściska się pod ścianą,
Bo wnet za ciasną wielka tanecznikom sala.
Nawet pan Kieliszkiewicz, z miejsca organista,
Próżno z kmotrem piwniczym w dyskurs się zapala;
W kąt ich potrąca para szumna, skoczna, mglista:
Musiał uciąć rozmowę i pomarszczyć lica,
Najmilszego nie mogąc dokończyć wspomnienia,
Jak tu za nieboszczyka niegdyś Podczaszyca
Musiał solo kościelne wyśpiewywać pienia,
Za co wśród licznych panów zyskał huczne brawo,
A krajowego lipca od dziedzica sądek.
Zamilkł, wąs kręcąc siwy, i zgłuszony wrzawą
Cieszy kmotra: „kto zboczy, zawsze ma rozsądek.“

Tymczasem przede dworem, na rozkaz
dziedzica,
Rozwarta kmiotkom jego na ościerz piwnica.
Już silna młedź z niéj śniade toczy beczki
piwa,
Już Piotr do Kuby, Kuba z kolei do Jana,
Przypijają, a wszyscy zdrowie swego pana.
Z poboczy coraz więcéj ochotnych przybywa,
Zwłaszcza starych komoszek, co to gardząc
tanem
Patrzą tylko, zkąd dobry kąsek unieść z dworka,
By nim rozpłakanego uśpić Izydorka,
Lub złagodzić starego świeżym piwa dzba-
nem,
Gdy nazajutrz powróci z pola zrzędzić doma.
Te najpierw tłoczą konwie, z czubem napeł-
niają,
Kryją chustą i chyłkiem za wrota znikają.

Tak, gdy się cieszą kmiotki, w pobocznéj
komnacie
Podstoli z szlachtą bracią szumne toczą mowy.
Wśród starego pokoju sterczy stół dębowy,
Przy nim poważne dawnych wojaków postacie,
W krzesłach adamaszkiem bogato wybitych
Perorują; a w twarzach trudem wojen zrytych

Błyszczą męstwo i prawda, zawsze ojcom święta.
Nerwiste ciała, w bojach otłaczane zbroją,
Dziś kontusze, żupany, lite pasy stroją;
Przy których karabela do boku przypięta.
Przy węgrzynie zasiedli; już każdy rumiany
Jako karmazyn, z dzielnym prawi animuszem.
„Krwawo na nas“ rzekł cześnik: wzdyć mi całe łany
Wody zalały; co to będzie, gdy wykruszem
Co w gumnach, a tu próżne nadbliży się żniwo!
Nie dawno Szwed zrabował, teraz Bóg uboży,
Smutne mospanie czasy! Cóż to? przerwał żywo
Sędzia; nasz rotmistrz, widzę, jak pancerz odłoży,
I siędzie na wśi, toby gotów i zapłakać
Przed nami, że mu tam plon nie dopisał zboża.
„Co Waść tu perorować myśli, na mnie gdakać;“
W domu pług mym orężem, taka wola boża.
Dobrze szablą po karkach skrzesać najezdnika
Kiedy ojczyzna w biedzie, ale szabla nieda
Chleba mospanie! nie ten kraj zbawia, kto krzyka,
Że krew, życie, za braci wolność chętnie przeda;
Zbyt często słowy nawet ciska na wiatr czczemi.
To syn ojczyzny, co ją w bojach pierśią słoni,
A gdy pokój, płodem własnéj karmi ziemi.
„Zgoda panowie bracia!“ — zawołał z ustroni

Gospodarz dotąd w cichém śiedzący milczeniu;
Concordia res parvae crescunt et discordia,
Maximae dilabantur. Téj prawdy uczczeniu
Wznoszę to zdrowie: „vivat convivium concordia!"
Vivat! w głos odkrzyknęli wszyscy; jedno słowo
Sędziwego już brata zcisza serc zapały,
Bo Podstoli zasługi, wiekiem, braci głową.
Każdy pamięta szczytne lata jego chwały
Pod Chocimem, przy dzielnym Szmigielskiego [2]) boku.
Lecz i naukę jego czczą w sąśiedztwa kole,
Nikt w żadnéj ważnéj sprawie nie uczyni kroku,
Nim usłyszy sąsiada i radę i wolę.
Kochają go jak brata, wszyscy czczą jak ojca.
Hasłem więc Podstolego, „jedność niechaj żyje!"
Wszystkie brzmią usta; kielich niknie za kielichem,
A z nim nienawiść. Sędzia całuje cześnika;
„Ja pana Jana kocham" z półsennym uśmiechem
Mu wtórzy; cześnik z łzami ściska przeciwnika,

2) Szmigielski, starosta gnieźnieński, sławny bohatér pod Augustem II.

Szumi rozruch — aż węgrzyn zciął usta milczeniem.
I ustała gawęda, tylko głuchem brzmieniem
Zakłócają je słabe z bocznéj sali wrzawy,
Kończącéj się już kmiotków wesołéj zabawy.

Przy drugim stole zacne matrony sąsiadki
Już okolicy wszystkie przebiegły wypadki.
Skarzą się na nowego świata gust zepsuty,
Co szerzy zaród wszędzie zdróżnością zatruty.
Ganią, gromią wymyślne młodych Polek stroje,
Co własnemi wzgardziwszy, obce wielbią kroje,
I dla jakiegoś, Boże zmiłuj się, zwyczaju,
Nawet język ojczysty chcą wypędzić z kraju.
Westchnęła czule zacna Pani Podstolina,
Nadto ta zmiana wszystkie serca rozczuliła,
Kończąc kawkę, zdrzemnęła się pani Starościna,
Pani Sędzina trzykroć tabaczki zażyła.

Już téż i w sali tańce i śpiewy ustały,
Kiedy z trzaskiem kolebki [3]) przed dwór zajechały.
Rwą się od stołów goście na wpół rozmarzeni,
Nadeszło bowiem długie i tkliwe żegnanie.
Ściskają się sąsiedzi, ściskają i panie
Dwakroć w pokoju, w sali, nareszcie i w sieni;

3) Kolebki, był to rodzaj pojazdów.

Odnawiają istnące z dziadów serc sojusze,
Wylewają affekta roztkliwionéj dusze;
Aż w mdławym blasku zorzy i wieczornéj
gwiazdy,
Wśród huku biczów z grzmotem ruszyły po-
jazdy.

U w a g a.

Wiersz ten acz już drukowany, dajemy tu wcale nowém przerobieniu.

Wiersze różne.

Wiosna.

Piękną's naturo, gdy w złocie jesieni
Po raz ostatni uśmiechasz się światu;
Piękną, gdy w blasku mdlejących promieni
Zchodzisz w grób źimy usłany z szkarłatu.

Lecz cóż na ziemi twoim wdziękom zrówna,
Gdy po dniach smutku, w całym majestacie,
O córo rajskiéj piękności czarowna
Znów zajaśniejesz w dziewiczéj twéj szacie.

Ludzkość natenczas upada przed tobą,
Łzami radości twe ołtarze rosi,
Całe stworzenie, przed niebios ozdobą
Korząc się, hymny twojéj chwały głosi.

Brzmią twym tryumfem przez źiemi obszary
Samotnéj wieszczów lutni rzewne tony;
Brzmią nim przez lasów noc i głuche jary
Rozradowanych ptaszyn milijony.

Sam Bóg z roskoszą spoźiera na ciebie,
Kiedy jutrzenkę w złote strojąc włosy,
W swém kryształowém wita cię tam niebie
Słońcem, od pereł rannéj lśniącém rosy.

Moja muza.

Sam wiem najlepiéj, gdzie skrzydłek polotem
Unieść się może drobniuchna ptaszyna.
Niech orzeł w chmury szumi piór łoskotem,
Niech całun burzy ócz błyskiem rozcina:
On w pośród gromów pierwsze ujrzał słońce,
Gdy skroń pisklęcia skwarnéj burzy gońce
Oblały błyski siarczystemi łuny,
I króla ptaków witały pioruny;
A on ze szczytu niebotycznéj skały,
Rozgrzany hymnem zdziczałych żywiołów
Wzrok ciskał w nieba, kiedyś kres swéj chwały!
Mnie siły orła nie dała natura,
Mnie w słodkiéj chwili pierwszego ocknienia,
Hymnem wzniosłego nie witała pienia,
Kochanka Bogów, szczytna niebios córa.
Tylko łagodnym darząc serce wzrokiem
Przy ziemi zostać kazała słabemu,
Gdzie w pośród zagród ojców nad potokiem
Kres oznaczyła westchnieniu tkliwemu.
W łonie téj ciszy, niech się leją dźwięki
Jękiem boleści wykarmionéj duszy;
Pod lipą ojców niech brzmią me piosenki
Ciche, jak echa tajnéj méj katuszy!...

Wiara.

Szczęśliwy, kto po gromach tajnéj burzy świata,
Do portu pomyślności zawinął wesoło,
Kogo choć już w lat schyłku własna chroni
chata,
A przyjaciół otacza zgodnomyślne koło.

Bo po kwiatach roskoszy jego życie płynie,
Jego nie trują czarne zbiegłych lat wspo-
mnienia,
Wszystkie on w niepamięci zagrzebał krainie;
Jego przyszłość, nadzieja złotem opromienia.

Ale kto jeszcze w życia rzucony odmęty,
Z pomiędzy śmiercią wokół kipiących żywiołów,
Patrzy w żagiel swéj łódki groźnym wiatrem
wzdęty;
Tego myśl nie ulata w dziedziny Aniołów.

Ach! tego serce szczęsnéj nie wydzwania pieśni,
Wieńcem nadzieja niwy nie stroi żywota,
Bo kiru duszy gwiazda uroku nie przelśni,
Nie zedrze ciemnic, które zawiodła zgryzota.

A więc nie ma już, nie ma majtku nieszczęśliwy
W tym krwawym oceanie pociechy dla ciebie?..
Czemuż roztrącasz jeszcze ten wał uporczywy,
Gdy już ostatnia zorza na twém zgasła niebie?

Bo jest jeszcze na ziemi jeden głos tajemny,
Wielu niezrozumiały, od wielu wyklęty,
Co się w serce zbolałe, jako dźwięk podziemny
Złona grobów przeszłości wciska niepojęty.

Nie jednemu w dziecinnych uroczém lat kwiciu
Już przebrzmiał, jako echo dalekie w pustyni;
Nie jednemu i w dalszém towarzyszył życiu,
Póki serca nie zmroził w Fortuny świątyni.

Jam go w raju słodyczy w mojéj pieścił duszy,
Za nim pędzę na oślep w krwawym losów grzmocie;
Głosie wiary! twój promień łzy moje osuszy,
Ty mnie prowadź; nie zginie, kto zaufał cnocie!

Modlitwa.

Fraszka umierać, zginąć jako proch z téj ziemi,
Nie masz życia wiecznego między śmiertelnemi:
Póki koła swe toczy czas, mrą pokolenia.
Lecz mrzeć jako liść marny bez głosu, wspomnienia —
To jest męczarnią, piekłem dla wzniosłego serca!
Niechaj kona katowskim żelazem morderca,

Niechaj ginie nikczemnik furją losów gnany,
Niech poleci w niepamięć proch jego rozwiany.
Ale nie racz dopuścić Boże wszechmogący,
By duch miłością wszystkich twoich tworów
tchnący,
Wśród najgorętszych chęci, przed poczęciem
czynu
Jeszcze, już ginął z źiemi, ginął śmiercią gminu!

Dumka.

Prędzéj mój gniady, przyśpieszaj kroku,
Prędzéj, o prędzéj uchódź z téj źiemi,
Na któréj chwile szczęścia, uroku,
Tylko się łzami płacą krwawemi.
Tutaj głos wieszcza, jak pieśń słowika
W miejscu wyklętém od ludzi,
Próżno pierś rozpacz kraje mu dzika,
W nikim współczucia nie wzbudzi.

Próżno, jak pszczółka z nieba woń nośi,
W pieśni z anielskich chorów wyssanéj;
Daremnie westchnień łzami twarz rośi,
Tęskniąc do źiemi kwiatem zasianéj.

Wśród ludzi jego lutni brzmią pienie,
W pośród ludzi nikną drzące,
Jak te nadziei złote promienie,
Niebo młodych lat strojące.

Precz, precz więc unoś ztąd mnie mój koniu,
Gdzie źimno grobów wieje dokoła;
Wnet na weselszém staniemy błoniu,
Wnet wiatr swobody owionie czoła.
O spiesz, spiesz gniady, gdzie świetność nowa,
Z trumn starych wstaje rycerzy,
Kędy wrą bębny, trąbka bojowa,
Lube nam hasło uderzy.

Piosnkę wędrowca wiatr poniósł w góry,
Z gór płynie tęskno, długo, w doliny,
I jak hymn duchów w otchłaniach chmury,
Już huczy w puszczach dzikiéj krainy;
Aż gdzieś zbłąkana w falach jeziora,
Coraz ciszéj dźwięczy, dzwoni,
Wreszcie z szmerami zlana wieczora
W eterycznéj zgasła woni.

Lecz kędyż śpiewak, co ją z zbolałéj
Wycisnął piersi? Widzisz te łuny,
Co na wschód niebo, żarem oblały;
Słyszysz te ciężkie śpiży pioruny,

Jęk rannych, dziką boju kapelę,
Te trąby, co brzmią chrapliwie?
Tam jego oręż błyszczy na czele.
Boże prowadź go szczęśliwie!

Wojak do wieszcza.

Pieśni, pieśni wieszczu młody,
Lecz nie wrzącéj westchnieniami,
Tam, gdzie hymny brzmią swobody,
Nędznym głos, co sączy łzami.

Czy nie widzisz, wokół ciebie
Las puklerzy ziemię chmurzy;
Czy nie słyszysz, grom po niebie
Przyjście bliskiéj wróży burzy.

Setnych źrenic rozjaśnione
Żarem, wreją twarze płowe,
Nowém życiem wyiskrzone,
Błyszczy czechło obozowe.

Straszne hura! na opiekłych
Już, już wargach zmartwychwstaje;
Miecze w dłoniach świecą wściekłych,
Nim grom niebo ich rozkraje,

Wieszczu w lutni bij mi strony;
Niech, jak stal tego puklerza,
Jako orkan rozbestwiony,
Śpiew twój jęknie w pierś rycerza.

Niech rozwichrzy, niech rozpieni
Serca, duszy mi nurt cały,
Bym tém żwawiéj wśród strumieni
Jego pędził w pole chwały.

A gdy z laurem jéj na skroni
W dom po bojów wrócę znoju,
Wtenczas wieszczu niech mi dzwoni
Twoja cicha pieśń pokoju.

Ostatnia gwiazda.

Już więc, już mdlejącemu znikasz majtka oku,
Ostatnia jego w pośród burzy przewodniczko;
Już więc w téj nawałnicy śmiertelnym pomroku
Skona dla nieszczęsnego promienne twe liczko!
Żegnaj gwiazdko ostatnia, o żegnaj na wieki,
Bo któż wie, czy tam jeszcze zajaśnisz méj nawie?
Patrz! od piorunów blasku ćmią się me powieki —
Głos zagasł tęskny w burzy rozdziczałéj wrzawie —

Po górach wściekłych wałów okręt w niebo
leci,
By się z nieszczęsnym w czarne morza zgrążył
łono.
Gwiazdko, niech czysty promień twój śmierci
nie świeci;
O uchodź, kędy złote sióstr cię czeka grono!

Do przyjaciela.

Gdzież jesteś ty, w którego wrzącéj pierśi
łonie,
Nieskalana ziemskością, prawa miłość płonie;
W którego sercu, jako w czystym wód krysztale,
Uczuć bratniéj wierności święte sączą fale?
Gdzie jesteś? powiedz, a łzy me płynąć prze-
staną;
Powiedz, a z duszą niebian weselem wezbraną
Z nicości rzeczy ziemskich, z losów się za-
śmieję,
I z sercem, w ożywione przybranem nadzieje,
Przez dzikie świata burze, z uśmiechem dzie-
cięcia —
Przedrę się do twéj pierśi, rzucę w twe objęcia.

Ja i skowronek.

Ja.

Czemuż z ojczystéj ulatasz ziemi
Skowroneczku, skowroneczku;
Czemuż pieśniami gardzisz naszemi
Kochaneczku, kochaneczku;
Czyć nie lepiéj na tym łanie,
Na téj niwie kwiatem strojnéj,
Gdzie potoków dźwięczne granie,
Braci pienia dźwięk spokojny.
A patrzno, patrzaj, jako tam czarno,
Kędy wiotkimi ulatasz pióry,
Ciemną ulewą, pioruny skwarną
Zawrzały falą zsiniałe chmury.

Skowronek.

Cóż mi te pienia, cóż mi te róże,
Nie dla mnie dźwięczą, nie dla mnie kwitną;
Gdzie huczą nieba, kędy wrą burze,
Zkąd biją błyski w skał pierś granitną;
Tam ma ojczyzna! Tam moje żale
Męszam swobodny z jękiem żywiołów,
A wspólną piosnkę ryczące fale
Brzmią do edeńskich mieszkań aniołów,

Aż ją przed tron Stworzyciela
Rozleją hymnem wesela.
Tutaj próżno szerzyć jęki,
Obce ludziom me piosenki.

Ja.

Leć więc szczęśliwie biedna ptaszyno,
Kędy cię tajne niosą cierpienia,
A gdy tam staniesz nad tą krainą,
Zroń z twą piosenką i me westchnienia.

Jam jeszcze nucił, i jeszcze
Wyrwane z duszy za nim goniły
Tęsknéj lutni brzmienia wieszcze,
Jego — już zdawna fale zakryły.

Do przyjaciółki.

Nim szron jesieni zgubném zimnem wionie,
O spiesz do wianka z kwiatki lubéj wiosny;
Ach! bo najdroższe ziół majowych wonie,
Najmilszym piérwszéj róży wdzięk miłosny.

Lecz towarzyszko, natury odmiany,
To życia koléj; więc nim doświadczenia
Zionie chłód mrozem w złote życia łany,
I zwarzy kwiatki twojego marzenia;

O wyryj w sercu lubych ci imiona!
Nieraz przyjaźni pamięć łzy osusza,
Goi boleścią rozranione łona,
I echem szczęścia jęki trosk zagłusza.

Życie obrane z nadziei.

Znasz ty męki, któremi miłość nieszczęśliwa
Rwie serce, duszę w wiry ciska obłąkania?
Znasz ty jęki, któremi tęskno pierś rzewliwa
Martwe głazy dzikiego rozkrusza wygnania?
O są okropne... przecież dla nich jeszcze może
Pogodniejszéj przyszłości zaśmieją się zorze.

Ale stokroć, o! stokroć od nich okropniejszém
Jest owo życie z wszystkich nadziei odarte;
To morze rozpienione, co coraz wścieklejszym
Namiętności orkanem siekane i parte,
Wreszcie o bezdenności granitne bieguny
Złamało, rozstrzaskało siły swéj pioruny.

Jak hardy polot niegdyś, bez granic, bez końca,
Tak niezmierzona teraz czczość i rozpacz jego.
W bezdniach zwątpienia zgasły dlań nadziei słońca,
Czarną przeszłość grobowce krwawéj dumy strzegą,

A okropne Dziś z pośród ciemnych zgryzot łona
Skościałe doń nicości wychyla ramiona.

Próżno natura w setne ubarwia się kwiaty,
Próżno chór dźwięcznych ptaszyn po krzewinach dzwoni;
Próżno się wieczór w złote rubinuje szaty,
A powietrze przepełnia balsamami woni;
Wszystko dziś już dlań martwe, bez życia, bez duszy,
Tego trupa, sam uśmiech Boga już nie wzruszy!

Do ***

O! i jam marzył i sny omamienia
Pieścił jak dzieci w szalejącéj duszy;
O! i jam marzył i nektar złudzenia
Milionem krwawych okupiał katuszy;
Bo i mnie niebo ideałów lśniało,
Bo i mnie serce żarem szału wrzało.

Lecz gdy wzrok męża zimny, obojętny,
Za perłą prawdy już tylko goniący,
Padł lodem myśli w nurt duszy namiętnéj;
Ściął się prąd uczuć rzeki gorejącéj,
I w blasku mędrca badawczego wzroku,
Stopniał i zagasł młody świat uroku.

Dzisiaj, gdy trudem badań duch znękany,
Słabnąc, ubiegłych wróci lat wspomnienie,
I przez zbliźnione zdawna serca rany
Jakie znów rzewne przesączy westchnienie;
Lepszy byt braci zabłyska przedemną
I duszę w sferę wyrywa nadziemną.

I wtenczas ogniem nowym strzela oko,
Nowém weselem bije serce wrzące,
A myśl, jak orzeł wzbity nad opoką,
Gdy zwiedza krain szczęśliwszych tysiące,
Dumna swobodą tysięcy tysiąca,
W świetniejszą przyszłość, leci gorejąca.

Do poetów.

Chwała wam wieszcze, których szczytne lutni pienia
Miłością ludu tylko brzmią w niebios sklepienia;
Wy wiecznie żyć będziecie! przecież niech te lutnie,
— Wybaczcie! — nie dźwięczą dlań boleśnie i smutnie.
Słabym tylko przystoją jęki, głos rozpaczy,
Bo łzą boleści ten ślad życia tylko znaczy,

Kto się z swém własném szczęściem rozdzielić
nie umiał.
Lecz kto wyższych przeznaczeń gwiazdę swą
zrozumiał,
Kto podeptał nogami egoizmu pęta,
W kim miłość ludów tylko żyje święta;
Ten się wydarł nad losów zdziczałe bałwany,
Bo przez pierś jego wrzały już łez oceany.
Skała to, czoło hardéj stawiająca burzy,
Którego przecież żadna noc jéj nie chmurzy;
Niech w dole huczą gromy i walą wichrami
Wsie, lasy; ona ponad gromy, nad wichrami
Stoi i jasną skronią wyniosłego szczytu,
Z czystego niebios ziemi śmieje się błękitu.

Pociecha mędrca.

Hańba mędrcowi padać pod cierpień ogromem,
Hańba rwać pierś rozpaczą za szczęściem zni-
komém;
Ten, co zawcześnie duszą oddarł się od ziemi,
W burzy się losów łzami nie zlewa krwawemi,
Bo Pan, co ziemię żarem rozburza zgubliwym,
W dziecięcia sercu zawsze: Ojcem litościwym!

Optymista.

I.

Czemżeż, o czemżeż byłoby to życie,
Utkane z wiecznych westchnień i boleści,
Gdyby w najwyższym jego cierpień szczycie
Nie błyszczał nędznym, jak uśmiech niewieści,
Ów promyk ulgi, pociechy, nadziei?
Prawda, że krótkim, zbyt nikłym on tylko,
Bo ledwoś szczęścia zakrzepił się chwilką,
Nowy wir trosk cię porywa zawiei;
Ledwoś łzy otarł, z wyblakłéj jagody,
Już w noc przeszłości zapadł dzień pogody
I nowe kipią przeciwności burze,
I nowe serce zakrwawiają rany.
Przecież o pojrzyj, mdleją wściekłe piany,
I jasność świta w rozmarszczonéj chmurze;
Chwilka, o chwilka jedna tylko jeszcze,
A zniknął, ścichną znów gromy złowieszcze;
Słonko zabłyśnie nad rozradowaną
Ziemią, i twoje łzy płynąć przestaną.

II.

Dziwny, tajemny rzeczy ziemskich biegu,
Kto ciebie zbadał, odgadł okiem duszy,
Czyjego wiary piorun twój nie wzruszy,
Chociaż przy mecie, samym szczęścia brzegu

Uderzy w serce znękanego znojem;
Kto wypełnionych powinności duszę
Silnym, stalistym opasał pokojem,
Tego nie wstrząsną, zgnębią twe katusze.
Owszem najwyższy w śmiertelników rzędzie,
On cię uwielbiać, błogosławić będzie.

[illegible] u serca [illegible] [illegible],
Nas wyspalonych [illegible] [illegible]
[illegible], [illegible] [illegible] [illegible].
Tem się [illegible], [illegible] [illegible].
[illegible] [illegible] w [illegible] [illegible],
Da się [illegible]. [illegible] [illegible].

Drobnostki
wierszem i prozą.

Westchnienie.

Ten sam wietrzyk, co niegdyś, na wzgórzach ojczystych
I tu dziś z krzewów jeszcze nawpół wieje mglistych;
To samo słońce, wolno nad łanem powstaje,
Strojąc rumianym blaskiem doliny, ruczaje;
Nawet tenże sam drozda smętny głos w krzewinie,
Jak błędny flet pasterza, zakwila i ginie.
O przyrodo, tyś wszędzie taż sama od wieka,
Czemuż nie takim również i serce człowieka!

Wybrana.

Mistrzu! ognistéj wstrzymaj polot myśli,
Twój rylec ziemskie tylko kształty kryśli;
By bóstwa świętą wiernie oddać postać,
Trzeba samemu ci wprzód Bogiem zostać.

Poeta i echo.

(*Bajka.*)

Niech się nikt wyższym zawczesnie nie zowie,
„Biedneś ty, biedne," wieszcz do echa powie;

„Samo nigdy nic nie stwarzasz,
„Tylko cudze głosy, czyny,
„Przez lasy, doliny,
„Wiecznie powtarzasz.“
„„Czy los twój lepszy?““ rzeknie echo z śmiechem;
„„Jam lasów, dolin, a tyś świata echem.““

Dwa woły.

(*Bajka.*)

Ha! dziwak z ciebie, mój miły,
Tak daremnie niszczyć siły;
Co dzień się trudzić w krwawym czoła pocie,
I za to jeszcze proszę! brać plag krocie!
Ze mnie bierz wzór sobie.
Zwichłem umyślnie ot przy pługu nogę,
Pan wydał wyrok, iż robić nie mogę,
I patrz! w szczęsnéj tutaj dobie,
Kiedy ciebie oracz tłucze,
Wygodnie się tuczę.
Towarzysz na to: Może nie wiesz jeszcze bracie,
Że ów pan tak wspaniały, nóż już zostrzył na cię!

Niepoznana.

(*Myśl z Jana Pawla.*)

O ukój serce ciężką boleścią skrwawione,
Męczenniczko, niech wiara twoje łzy osuszy;
Cierniową ci na skronie wtłoczył świat koronę,
Lecz Bóg wieczyste róże twojéj wszczepił duszy.

Przyjaźń ludzka.

Jak wszystko ziemskie na tym bożym świecie,
Tak się i ludzie z czasem odmieniają;
Tych, co jak braci kochali w lat kwiecie,
W późniejszym wieku częstokroć nie znają.

Burza na wśi.

Coraz to skwarniéj, coraz mdléj w naturze — całe powietrze żarem goreje. Przy ciekących zdrojach pomdlone kwiatki się kładą; ptak na gałązce zaprzestawszy nucić, pod owieszone skrzydełka półsenną kryje główkę; trzody szukają cienia w milczeniu; wszystko wpół

martwe. Wtém od zachodu wynurzyły się chmury i czarnemi drzące od skwaru niebo zaczerniają pomroki. Zrazu cisza — tylko błysk świeci w oddaleniu i głucho grom zahuczy. Gdy w chwili, z nawały łona wydarł się wicher — zawył po kniejach i całun burzy na całe niebo zarzucił. Już huczą pioruny i deszcze zdrojami leją; strasznie, okropnie w przyrodzie. Dęby się walą, zboża na łanach padają do ziemi, wszystko truchleje! Ale za chwilkę, jednę chwilkę, ucichły gromy, wicher jęczeć zaprzestał; deszcz ustał, a z rozbitych nawałnic słońce weselem jaśnieje. I w powietrzu tak czysto, tak lubo dokoła — całe przyrodzenie zawrzało od śpiewów radości.

O! tém obliczem roskoszy pogląda i człowiek, gdy zwątlonego boleścią, długiém cierpieniem, nagle grom losu wstrząśnie, przeryje rozpaczą, a za chwilę nadzieja tryumfującego po przetrzymanych mękach, na złotych swych skrzydłach do nieba unosi!

Urywek z mojego dziennika.

Samotności! jedyna dziś powierniczko moich cierpień i roskoszy; ciszo uroczysta! w któ-

réj cieniu tak miło nieraz podumać, zapłakać, nawet zaśmiać się szczęściem, gdy chmurne niebo pogodą, los weselem błyśnie. Świątynio! do któréj z ściśnioném sercem uciekam od wrzawy obcego mi świata po balsam pociechy, czemuż i na twych ołtarzach obok róż kwitnących sterczą głogi i ciernia?

Przed godziną jakżeż miło kołysał mą duszę szum tych wyniosłych świerków; jakżeż słodko poiły wonie kwiatów, wznosiły i rozrzewniały śpiewy ptaszyn, błękit nawet nieba zdał mi się uśmiechać weselem. Na posłaniu roskoszy sen sklcił me powieki. I zdaje mi się, żem nagle uniesion w przeszłość, do zagród ojczystych; że się wróciły moje lata dziecinne. Widzę rodzinną wioskę z wynurzającym się z lip wiekuistych kościółkiem, z drobnemi chaty, ponad którémi wiją się w błękitnawych kolumnach sine dymy; widzę skromną zaciszę moich ojców. Taka sama, jak niegdyś, jaskółka, pod oknem zakłada swe gniazdko; śnieżny bocian klekce na szczycie wiązu. Chłopczyk maleńki bieżę upędzać z drobną mą rodziną na ogród; zdala nam przyglądają się rodzice z uśmiechem na licu, starzy przyjaciele. Poznałem ich, posłyszałem mowę od lat tylu

zamarłą memu uchu, zrywam się w uniesieniu radości, chcę się rzucić w ich objęcia! niebaczna myśli! wszystko rozwionęło, jam się przebudził. O krwawe, żółcią tęsknoty zakropione przebudzenie!

Świerki szumią, jak przed godziną; też same wonie przepełniają powietrze, ten sam lazur nieba błyszczy nademną, z moich oczu łzy sączą. Ale nie twoja piękność naturo wyciska je z duszy — o twoje wdzięki martwe w téj chwili!

Gdzież jesteś kolebko mego szczęścia, zdroju nieprzeczerpanych roskoszy! Czyś ty po promieniach owych gwiazd, co tam świeciły wychodźcowi z zagrody ojców; czyś ty po jego ostatnich westchnieniach odpłynął już do rodzinnego twego źródła? Czemuż los przeciwny wzbronił, przynajmniéj na twoim grobie zapłakać! Czemuż nie mogę lecieć na skrzydłach ptaka do tych strumieni, po ojczystej sączących ziemi; do tych pagórków, dolin i gajów umajonych wiosną, gdzie nieraz pieśń dziecinnéj swobody brzmiała tak rozgłośnie?..

Samotności! gdzież potęga twych uroków? o usącz balsamu pociechy, zawlecz mgłą nie-

pamięci obrazy, co się tak żywo odryły w duszy. Niech runie w przepaść zapomnienia, co czas z karty życia wymazał. Ale tyś głucha na me jęki!...

Ideały.

O wy w poranku życia poczęte, łzami nadziei, łzami boleści wykarmione, dzieci wieszczéj méj duszy, żegnajcie! Nie na ziemi wam jaśnieć, gdzie tylko łzy i rozpacz, wy wyższych światów gwiazdy nieśmiertelne. Wasza ojczyzna między niebianami. Tam was przyjmie samotne sieroty ojciec dobrotliwy, a kiedyś może zwróci temu, który was wypieścił i wychował! —

Pięknym jest ranek, gdy się w półmglistych, bezkształtnych, przecież już tak uroczych rozwija barwach; ale stokroć piękniejszym, gdy w promiennym dnia blasku zajaśnieje światu.

Tak uroczemi są marzenia młodzieńca, tak miłemi rozkwitającego serca bicia; przecież, gdy rozdźwięcznym, pełnym i harmonijnym męzkości akordem zabrzmi twa lyra wieszczu, wtenczas całe stworzenie padnie przed tobą na kolana!

Myśli i ucinki.

Nic na nas przykrzejszego nie czyni wrażenia, jak po śnie pięknym widok nieznośnego nam człowieka.

Czemu téż to człowiek na starość tak namiętnie wszystkie dziecinne zajada łakocie? pytał żarłok sąsiada, potężny tort kładąc w gębę. Bo dziecinnieje, odpowiedział.

Czemu tylko kobieta może dobry list napisać? Rzecz bardzo jasna. List, chociaż piśmienną, jest zawsze tylko rozmową; w prowadzeniu zaś téj, któż przewyższy istotę z wszystkich najrozmowniejszą!

Wiecznie powiadają sobie ludzie, o jakichś nieodgadnionych tajemnicach; a przecież ciż sami ludzie widzieli niegdyś cuda w tém niepojęte, co dziś i drobny chłopczyk już sobie wytłumaczyć może!

Wiek XIX.

Racyonaliści popchnąwszy świat swemi nauki aż na brzeg zaguby, poznali się w błędzie, i dziś już lecący w przepaść ciągną napowrót zdeptaną nogami moralnością i wiarą!

Narody, pojedyńczo wzięte, starają się, by ich ojczyzna rosła, wzmagała się materyalnie i umysłowo; wszystkie razem, by zbadały wyższy cel swego przeznaczenia, stósunek do Boga i natury. Dokazać tego mogą tylko po szczeblach umiejętności, ale nie umiejętności doskonalących się jeszcze, lecz już wykształconych. Oto powód, czemu żadnéj lekce ważyć, lecz każdą z równym zapałem krzesać, kształcić i wydoskonalać powinniśmy. Tę prawdę należałoby codzień powtarzać: przedewszystkim — agronomom!

Każdy młodzieniec musi szaleć, każdy młody duch musi niszczyć i tworzyć. Gardząc przyjętą, nową sobie stwarza wiarę. Ale silny tylko charakter idzie z własną do grobu, słaby wraca do podań ojców.

Wielu z tegoczesnych starożytności dziejopisów oparło znaczną część swych wywodów (historycznych) na kilku miejscach z jéj poetów. Ciekawym, jakimi będą obrazy, które późna tam kiedyś przyszłość wyprzędzie o nas z wierszy romantyków naszych?...